

# Byłem w Polsce – 11

23 czerwca 2018

Czasami zastanawiam się, co w nas takiego jest, że lubimy jeździć! I nie mówię tu tylko o sobie! Przecież całe nasze pokolenie „baby-boomers” podróżuje jak nawiedzone, młodzi ludzie – tacy do czterdziestki – też jeżdżą, jakby nie było jutra! Rozmowy obracają się wokół tego, gdzie kto był, gdzie jedzie i gdzie by chciał pojechać. Podróżować! Podróżować! Oto co się słyszy! Wszędzie! Nieśmiertelne pytanie:

– Co będziesz robił na emeryturze?

I tak samo nieśmiertelna odpowiedź:

– Jak to co?! Będę podróżował!

Niektórzy wpadają w kompletną obsesję i o podróżach nie umieją już ani przestać myśleć, ani mówić! A przecież nie zawsze tak było. W moim rodzinnym miasteczku był stolarz Jakub, który w ciągu całego swojego życia tylko raz wyjechał z naszego miasteczka w podróż. To było jeszcze przed pierwszą wojną światową! Jak się u nas mówiło, „przed Wielką Wojną”. Jakby ta druga nie była jeszcze większa?!?

Jakub pojechał kolejką wąskotorową do Przeworska! Całe 40 kilometrów! Nasza „ciuchcia” pokonywała ten „ogromny” dystans w przeszło 3 godziny! Mój ojciec mówił, że ów stolarz opowiadał o tej podróży całe swoje długie życie! I co najważniejsze – miał co opowiadać! Bo życie w tamtych, zamierzchłych czasach płynęło wolno i leniwie, a atrakcje ograniczały się do kościelnych uroczystości, wesel, chrzcin i pogrzebów oraz – rzadkich pożarów czy wiosennych powodzi. Trzygodzinna podróż kolejką do Przeworska była więc niebywałym wydarzeniem!

Trzeba tu dodać, że na swojej trasie nasza kolejka pokonywała tunel i kilka mostów! To nie było byle co! Przejazd samym,

półkilometrowym tunelem to była przygoda sama dla siebie, której doświadczyłem jako dziecko parokrotnie. Muszę też dodać jeszcze jedno – może najważniejsze – a mianowicie, że czasy mojego dzieciństwa nie różniły się zbyt wiele od tych z końca czy nawet połowy XIX wieku! Nie, nie, nic nie przesadzam!

Właśnie dzięki temu odizolowaniu od „głównych traktów cywilizacji” w naszej rzeczywistości zmiany następowały niesłychanie wolno i nigdy nie były mile widziane! Żyło się tak jak za króla Ćwieczka i uważano, że tak jest dobrze! To, co było, było sprawdzone, wiedziano, czego się trzymać, a co za tym idzie, tak wychowywano dzieci, a te z kolei w wychowaniu swoich dzieci też niewiele zmieniały!

„Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna!”

Dość często, przy różnych wspominkach podkreślałem izolację i stagnację tego małego, podkarpackiego miasteczka. Tak zresztą było w wielu miejscach. Różni moi koledzy opowiadali mi o swoich rodzinnych miejscowościach i czasem wydawało mi się, że opowiadają o moim miasteczku. Trochę później „dorobiłem sobie” pewną dość dziecinną teorię „Południa”. Nasze miasteczko leżało ostatecznie na „głębokim Południu”, a „południa” zawsze tkwią w swojej przeszłości i odrębności.

Tak jak to się na przykład dzieje w Alabamie, Missisipi czy Luizjanie.

Ale to była tylko moja – można powiedzieć – raczej głupia teoria, którą wysnułem z „Chaty Wujka Toma” i opowiadań Jacka Londona. Mniejsza z tym.

Tak więc stolarz Jakub odbył jedną, jedyną podróż do Przeworska i umarł szczęśliwy. Pamiętam go dobrze, bo naprawiał mi sanki, które dość regularnie łamałem, tłukąc się bez pamięci po wertepach i otaczających nas górkach.

– A tunel – mówił z przejęciem – żeby Marcinko wiedział, jaki

to strach i jak wszędzie ciemno, wszystkie okna pozamykane i wydaje się, jakby temu końca nie było – opowiadał mi, siedząc na przyzbie domu i oddając naprawione sanki.

Tak do mnie mówił – „Marcinko”. Miał pewien archaiczny sposób wysławiania się, używał dawno zapomnianych, gwarowych wyrażeń, których nie rozumiałem, ale słuchałem grzecznie.

Kolejka była dumą naszego miasteczka i obok „pak” PKS-u jedynym – w gruncie rzeczy – łącznikiem z wielkim światem! Były także, a może przede wszystkim, konie! Furmankami, bryczkami, a w zimie saniami jeździło się na co dzień. Co jednak faktycznie zrewolucjonizowało po wojnie polską wieś, to motocykl, czy raczej motor, lub jeszcze inaczej „mutor”! Motor bez żadnej przesady stał się dla tych małych miasteczek i wiosek tym, czym dla zdobywców Dzikiego Zachodu był koń! Najpierw jeżdżono pozostałym po wojnie szmelcem. Zdezelowane BMW, zundappy, czasem NSU, a nawet nasze polskie sokoły. Naprawiano je po stodołach i domowych ślusarskich warsztatach. Potem przyszedł czas na nasze WFM-ki, niemieckie MZ-etki, rosyjskie IŻ-e i wreszcie polskie harleye – junaki! Junak był przedmiotem westchnień wszystkich chłopaków! Każdy marzył o dniu, kiedy będzie mógł podjechać na nim do gospody i na oczach kolegów i miejscowych dziewczyn wypić piwo bez zsiadania z siodełka, a potem z hukiem silnika odjechać!

\* \* \*

Cały czas podczas naszej eskapady na południe korciło mnie, żeby odwiedzić moje rodzinne strony. Z jednej strony, nie chciałem wydłużać nieobecności w Warszawie, ale z drugiej, „ojcowizna” nie była aż tak daleko i prawdę mówiąc, szkoda by było nie zahaczyć o nią. Ostatecznie byliśmy już w Krynicy, czyli jeszcze tylko Beskid Niski, Bieszczady, pętelka, Solina, Sanok i... „już jesteśmy w ogródku i witamy się z gąską!”. Inna rzecz, że tak to się tylko mówi, ale wiadomo, że w Polsce odległości trzeba mierzyć trochę inaczej niż w Kanadzie. Po prostu jeździ się inaczej. Dłużej. Inny teren, wąskie drogi,

inny ruch itd. Wszyscy wiemy o co chodzi. Europa to nie Ameryka! Ale korciło mnie, korciło! Ileż to lat tam nie byłem?

Droga przez Beskid minęła jak z bicza strzelił, ale mieliśmy małe potknięcie, bo tuż za Krynica, przy zjeździe z jakiegoś wzniesienia zatrzymał mnie policyjny patrol. Jechałem za szybko i w ostatniej chwili zobaczyłem zwalistą postać z lizakiem! Znana sprawa, znany widok, historyjka przerabiana miliony razy.

Nagle uświadomiłem sobie, że taką scenę już kiedyś widziałem. Najpierw nie bardzo mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Chyba każdemu zdarza się, że ma poczucie przeżywania czegoś jeszcze raz. Tak właśnie było ze mną. Nie wiem, czy rzecz jest warta opowiadania, ale nie mogę sobie tej przyjemności odmówić!

Otóż zdarzyło się, że jadąc truckiem, w północnym Quebecu zupełnie nieoczekiwanie zostałem zatrzymany przez policję. Byłem za Matagami Mine na James Bay Road. Kraj pusty, szeroko otwarty, jak okiem sięgnąć żywej duszy. I nagle, jak grom z jasnego nieba usłyszałem jęk syreny i zobaczyłem w lusterku światła radiowozu.

Nie wiem, jak tam jest teraz, bo dawno w tamtych stronach nie byłem, ale wtedy James Bay Road to była dość wąska, dwupasmowa szosa, z miękkimi poboczami. Truck był ciężki, wyładowany „po brzegi”, żadnej zatoczki. Zeszło mi trochę, nim wyhamowałem. Radiowóz podążał za mną z wytrwałością gończego psa.

Wreszcie stop. Siedziałem za kierownicą i w głowę zachodziłem, dlaczego zostałem zatrzymany. Ta droga to nie jest – i nigdy nie była – jakaś wakacyjna trasa, po której jeżdżą turyści z dziećmi. To są dzikie, skrajnie odludne tereny, gdzie w lecie nie można nawet pomyśleć o otwarciu okna, bo czarne muszki i komary mogą cię zjeść jak piranie w Amazonce, a zimą mrozy dochodzą do -40 stopni.

W latach, o których piszę, na odcinku bodaj siedmiuset

kilometrów była chyba tylko jedna stacja z paliwem. Zresztą nawet w końcowym Radisson nie było żadnych luksusów. Raptem trzystu mieszkańców i dość podstawowa, żeby nie powiedzieć prymitywna stacja obsługi.

Zatrzymywanie mnie w tym pustkowiu było czymś, co mi się w głowie nie mieściło, bo jakież to przepisy mogłem złamać? Szybkość raczej nie wchodziła w rachubę, bo poza wszystkim, o czym my tu mówimy – odludzie, że tylko czarne niedźwiedzie i od czasu do czasu, może raz na pół dnia przejechał truck z drzewem. Mój truck był ciężki, żadnych napiętych terminów nie miałem, jechałem spokojnie. W lusterku widziałem stojący radiowóz z ciągle jeszcze migającymi światłami. I było cicho. Nikt się nie ruszał, nikt nie wychodził, więc czekałem i ja, ale po pewnym czasie poczułem jakby cień niepokoju. Myślałem tak: – Jesteśmy na pustej drodze, bez żadnej łączności ze światem. Policjant i ja. Jeśli powiedzmy doszłoby tu do jakiejś konfrontacji, to kto zaświadczyłby o mojej racji czy stanął w mojej obronie? Przecież różnie bywa! Miałem jakieś tam wspomnienia z dawnych lat, naoglądałem się różnych filmów, które często gęsto nie odbiegały od prawdziwych wydarzeń na drogach i moja wyobraźnia zaczęła grać na wysokich tonach. A poza wszystkim strach ma wielkie oczy. Najgorsze było to, że nikt z radiowozu nie wysiadał.

Wreszcie, po dłuższej chwili ujrzałem w lusterku gramolącego się z radiowozu policjanta, który słynnym „kaczym” krokiem zaczął się zbliżać do mojego trucka.

Ten wolny, kiwający się na obie strony kaczy chód oznacza władzę, siłę i przekonanie, że to idzie władza i prawo. Policjanci wiedzą o tym. Wolny, rozbuwany krok ułatwia im wyposażenie, które zwykle dźwigają. Czegóż tam nie ma? Zawsze zastanawiałem się, po co im to wszystko. Pas z bronią, kajdanki, latarka, pałka, nóż, jakieś kółka, pętelki, paralizator, rękawiczki. A do tego kamizelka kuloodporna... Ekwipunek pogrubia ich, spotężnia, czyni masywnymi, wolnymi i bardzo władczymi. Do tego ciemne okulary, jakieś radio, coś

tam jeszcze... Jednym słowem, taki widok musi wzbudzać respekt i obawę. No więc zwalisty policjant podszedł do mojego trucka. Otworzyłem okno. W ręku trzymałem potrzebne dokumenty, bo wiadomo, że każda policja jak świat długi i szeroki zaczyna rozmowę od „dokumencików”. Jakoś dziwnie nie umieją bez tego rozmawiać. Ale ten mój o dziwo nie chciał ani prawa jazdy, ani log-booka. Jak się okazało, paręnaście kilometrów przede mną budowano jakieś odgałęzienie, przebijano się przez skały i używano środków wybuchowych. Coś tam poszło nie tak i operację zaczynano wcześniej, jeszcze przed zamknięciem drogi.

Polecenie było takie:

– Nie możesz dalej jechać. Czekać na otwarcie. Ja tu za tobą będę, żeby ci ktoś he,he,he nie zrobił krzywdy!

– Krzywdy?!

– No, no – tak się tylko mówi, ale myślę, że ze mną będziesz się czuł bezpieczniej.

Akurat co do tego to nie byłem tak zupełnie pewny. Do policji miałem zadawniony uraz i czułbym się lepiej, gdyby go w ogóle nie było. Niemniej moje obawy okazały się niepotrzebne. Wiem, że ta historia nie bardzo przystaje do mojego spotkania z polską policją, ale tak jak powiedziałem – jakoś mi się te dwa zdarzenia w dziwny sposób skojarzyły. I oto miałem powtórkę z Quebecu. Wielkie byczysko w kamizelce, z bronią itd., itp. Ten sam kaczy chód! To zadziwiające, jak policje świata są do siebie podobne.

Tym razem nie zawiodłem się:

– Dokumenty, prawo jazdy, ubezpieczenie...

Podałem.

– A to co?

– To jest kanadyjskie prawo jazdy...

Rozpromieniło się oblicze władzy, a ja od razu poczułem się swobodniej.

– To tak się jeździ w Kanadzie?

Siedziałem cicho, czerwony ze wstydu jak burak.

– No to jak, co my tu z panem zrobimy?

Dalej siedziałem cichutko.

– A wie pan, że parę minut przed panem ktoś tu stracił prawko? Prawie za to samo, tylko, że na dodatek był po kielichu... No dobrze, niech pan jedzie, ale wolno!

Żeby pan zdrowy wrócił do Kanady!

Byłem zachwycony! Całkiem tak jak wtedy w Quebecu! Niepotrzebne strachy! Zupełnie rozanielony popełniłem błąd i powiedziałem:

– Bardzo dziękuję. Gdybym mógł się jakoś zrewanżować...

– Jedź pan jedź. Chyba pana dawno u nas nie było! To już nie to co kiedyś!

A ja znowu się zaczerwieniłem i znowu nic nie powiedziałem.

Autorstwo: Marcin Braniecki

Źródło: [Goniec.net](http://Goniec.net)